

.... Budzę się z jakiegoś koszmaru, wszystko dookoła jest jakieś zamazane. Zastanawiam się, gdzie jestem, ale nie mogę sobie przypomnieć, co tu do cholery robię? Chcę się podnieść, ale sił starcza tylko na podciągnięcie ramion. Coś się poruszyło koło mnie i słyszę kobiecy głos.

- Spokojnie. Bez szaleństw. Miał pan rozległy zawał. Musi pan bardzo na siebie uważać.

- Gdzie jestem? Wyartykułowałem z trudem.

- Jest pan w Honolulu. Klinika Chorób Tropikalnych.

- A... prawda. – Wykrztusiłem. – Nie mam już nikogo.

Naraz puściły wszystkie hamulce. Rozplakałem się jak skrzywdzone dziecko, głośno przeklinając wszystkich i wszystko co mi przyszło do głowy. W mojej głowie dzwięczał głos, jak dzwon pogrzebowy, - Zostałeś sam. Już nikt na ciebie nie będzie czekał. Po co żyć?

Zrobił się ruch. Pojawiło się kilka osób w bieli. Chciałem wyrwać wszystkie kable przyłączone do mnie, uciec i jeszcze raz uciec. Uspokajali, przytrzymywali siłą, aż wstrzyknięty lek pozbawił mnie całkowicie sił. Opadłem bezwładnie, ale zachowałem świadomość. I to było najgorsze. Świadomość mojej wielkiej krzywdy i wszechogarniającej rozpacz i bezsilności. Mój syn Jacek, - Pati i moje nienarodzone dziecko. Już nigdy... Czułem jak niekontrolowane, tak niemęskie łzy płyną po policzkach. Nie starałem się ich tamować.

To była moje ostatnia tak emocjonalna reakcja na powalającą mnie wiadomość. Zamknąłem się w sobie jak jakiś małż w swojej skorupce. Nie reagowałem na jakiegokolwiek próby nawiązania ze mną bliższego kontaktu. Żyłem w swoim zamkniętym, sterylnym i pozbawionym jakichkolwiek emocji świecie. Nachodziły często myśli samobójcze, na cholerę mi żyć, - myślałem, przecież straciłem wszystko.

Mijały dni i tygodnie, mój stan fizyczny znacznie się poprawił. Nabrałem ciała, znikły wystające żebra, a skóra wygoiła się po zabiegach usuwających zalęglę w niej pajęczaki. Można było powiedzieć dochodziłem do formy. Tak, ale tylko fizycznej, bo psychicznie byłem pozbawionym życia wrakiem. Nie zdążył się na nic sesje z psychoterapeutą czy rozmowy z innymi ludźmi.

Byłem zasklepiony w swoim żalu i beznadziejności.

Pewnego dnia zadzwonił mój telefon. Tak, oddano mi go już dawno i mimo, że nie spodziewałem się aby zadzwonił, odruchowo systematycznie go łądowałem. Zaskoczony spoglądam na wyświetlacz, czytam - Frida Ekker. W pierwszej chwili nie skojarzyłem, lecz po chwili jakiś błysk w głowie. Facet, przecież to Eva. Otworzyły się kłapki pamięci i zakręciło mi się w głowie. A telefon dalej uparcie dzwonił. W panice odbieram połączenie.

- Słucham Lorenz. – Mówię wyczekująco.

- Pit, to ja - Eva. – Słyszę kobiecy krzyk i coś, co brzmiało jak łkanie. – Pamiętasz jeszcze o mnie?

- Jasne, że pamiętam. Ale to było tak strasznie dawno, a ja jestem już kimś innym.

- Dla mnie byłeś i jesteś kimś najważniejszym. Posłuchaj, wiem wszystko o twojej tragedii.

Przeżywam ją nie mniej jak ty. Chcę być przy tobie, by razem stawić czoła temu nieszczęściu. Jak chcesz, to w ciągu kilku dni możemy być razem. Twój przyjaciele obiecali daleko idącą pomoc. Powiedz, co o tym myślisz?

- Jak się o tym dowiedziałeś? To wręcz nieprawdopodobne.

- To nie było trudne, ale dokładnie opowiem na miejscu. Powiedz, jak jest twoja odpowiedź?

- Powiem całkiem szczerze, byłbym szczęśliwy, ale przecież masz swoje Kunes i obowiązki.

- Niech diabli wezmą Kunes i całą resztę. – Burknęła. - Pit, ty jesteś teraz dla mnie jedynym i najśłodszym celem. Dopiero teraz zrozumiałam kim jesteś dla mnie. Mówiąc krótko, za kilka dni zjawię się u ciebie. Tak bardzo się cieszę.

- Zaskakujesz mnie Eva. Nie wiem, co powiedzieć, do mojej czarnej dziury wpadł promyk słońca. Eva, przyjeżdżaj jak najprędzej. Czekam.

- Pit kochanie, będę jak najprędzej. Dodam jeszcze, masz naprawdę dobrych przyjaciół. Pa, moje słonko. – i rozłączyła się.

Stałem telefonem w ręku niezdolny do jakiegokolwiek działania. W ułamku sekundy wszystko się zmieniło. W wszechogarniającej mnie pustce pojawił się błysk nadziei. Może jeszcze nie wszystko stracone. Dopadły mnie wspomnienia wspólnie z Evą spędzonych chwil, pełnych miłości i ciepła. Rozmarzyłem się.

- Co to się stało? Uśmiecha się pan. – Słyszę głos Andersona.

Odwracam się i widzę jak uśmiecha się porozumiewawczo. Na moment zapomniałem języka w gębie, a potem starając się mówić normalnie odpowiedziałem.

- Wie pan doskonale. Co mogę powiedzieć? Dziękuję, to za mało. Skąd wiedzieliście o niej i o mnie?

- Wie pan, tego się od nas wymaga, - wiedzieć. Żal nam było pana, więc trochę pomyśleliśmy, a przede wszystkim pana rodzinka wyprawiająca pana w tą eskapadę. Pamięta ją pan?

- Oczywiście. Bardzo kompetentna i zarazem sympatyczna osoba.

- Zgadza się. Taka jest. Wcześniej doszły ją wieści o telefonach pani Ekker do koleżanek, w których dopytywała się o pana. Było ich kilka do różnych osób. Efekt tych rozmów był oczywiście zerowy, jednak jak dowiedziała się o pana tragedii i stanie psychiki szybko pokojarzyła. Wiedząc o waszych wcześniejszych bliskich stosunkach, i jej zainteresowaniem pana osobą, zadziałała bezbłędnie. Za oczywiście zgodą i błogosławieństwem szefostwa, pojechała do niej i pogadały jak dwie kobiety. Efekt tego usłyszał pan jak myślę przed chwilą. Mam rację?

- Całkowitą. Tylko jednego nie rozumiem, skąd tyle troskliwości o mnie. Nie podejrzewam, że z każdym powracającym agentem tak się certolicie.

- Oczywiście, że nie. To ich praca i tyle. Ale jeszcze nigdy nie zdarzyło się to. co z panem.

Nie ma czemu się dziwić, to normalny ludzki odruch. To tyle panie Robertson.

- Proszę, jak pan powiedział? Robertson?

- Tak pan się obecnie nazywa. Zauważył pan, że nikt jeszcze nie powiedział do pana po nazwisku.

- Faktycznie, ale nawet nie zwróciłem na to uwagi.

- Pana Lorenza nigdy tu nie było. Pan Lorenz został porwany w czasie wycieczki. Obecnie trwają jeszcze negocjacje w sprawie pana uwolnienia. Myślę, że niedługo pomyślnie się zakończą.

- Niegłupie wytłumaczenie mojej nieobecności. A teraz, co dalej ze mną?

- Spokojnie, myślę, że jeszcze dwa miesiące odpoczynku należy się panu. Przyjedzie pani Reynolds, pana przyjaciółka ze Stanów to spędzicie miło czas. Zasłużył pan na to.

- Rozumiem, że pani Reynolds to faktycznie pani Ekker.

- Jasne. Proszę o tym pamiętać. I jeszcze jedno, jutro pana wypiszą ze szpitala z tym, że będzie pan regularnie zjawiał się na kolejne badania i leczenie. Tu ma pan dokumenty na nowe nazwisko, trochę gotówki i całkowicie legalną kartę kredytową. Proszę jutro wynająć mieszkanie, adres znajdzie pan w środku, i opłacić go z góry na dwa miesiące. Do dwóch dni zjawi się pani Reynolds to zagospodarujecie się. Ja miałbym na tyle. Ma pan jakieś pytania?

- Mam jedno. Pytanie, które męczy mnie od samego początku. Proszę powiedzieć, ale tak szczerze, Czy znaczenie tych dokumentów było warte kosztów ich dostarczenia? Rozumie pan o co mi chodzi?

- Szczerze? Proszę bardzo. Dla mnie i dla pana na pewno nie były warte gehenny przedzierania się przez zabójczy, tropikalny teren. Inne zdanie mają ludzie, którzy posiadają szerszą od naszej wiedzę, dla nich te materiały są czymś bezcennym. Widzi pan, wszystko jest czymś względnym.

- Dzięki za szczerść. Ale jeszcze jedno, ma pan jakieś wiadomości o stanie zdrowia mojej przewodniczki?

- Tak, mam. Spodziewałem się tego pytania i nie dalej jak wczoraj rozmawiałem z Lusaką.

Pani Lerato już zdrowa została przetrzucona do swojego kraju i przebywa w rodzinnej wiosce. Została naprawdę dobrze wynagrodzona. Zadowolony.

- Tak i proszę wszystkim podziękować w moim imieniu. To wspinała dziewczyna.

- Dziwne, prawie identyczne zdanie miałem panu przekazać w jej imieniu. Tak, wspólne zagładanie śmierci w oczy zbliża ludzi. – Rzucił sentencjonalnie.

Minęło jeszcze długie trzy dni oczekiwania nim zadzwonił telefon.

- Cześć kochanie, mówi Eva Reynolds, jestem na lotnisku. Przyjedziesz po mnie?

- Nareszcie jesteś. Stęskniłem się za tobą. Jak podróż? – Z trudem zachowywałem powagę.
- Daj spokój, taka nudna. To jak przyjedziesz?
- Jasne. Tylko złapię jakąś taksówkę.
- Pośpiesz się. Znajdziesz mnie w barze. Cześć.
- Cześć.

Ładnie ją wyszkolili, pomyślałem z uznaniem. Grała jak profesjonalistka. Bezproblemowo złapałem taksówkę i po kilkunastu minutach podjechaliśmy na lotnisko. Kazałem kierowcy czekać, a sam pomaszero- wałem do terminalu szukać baru. Trochę trwało nim zobaczyłem siedzącą ze szklanką jakiegoś napoju w rękę. Nie widziała mnie jeszcze. Idąc pomału cieszyłem oczy śliczną i elegancką dziewczyną. Moja Eva, - myślałem z czułością. Naraz zobaczyła mnie, uniosła się, a ciemne oczy zaszklily się podejrzeniem. Na twarzy pojawiła się mieszanka radości i wzruszenia.

Zrobiłem jeszcze kilka kroków i padliśmy sobie w ramiona.

- Nareszcie jesteś, - odezwała się zdenerwowana, - czekałam i czekałam a ciebie nie ma.
- Sama wiesz jak tu trudno z taksówkami. – tłumaczyłem się niezdarnie, - No dobra, nie złość się, wezmę bagaże, - taksówka czeka.
- Tylko ostrożnie, mam tam delikatne rzeczy. Czasem zachowujesz się jak słoń. – Burczała.
- No już dobrze, - mruknąłem pojednawczo, - postaram się.

Poszliśmy. Eva z miną księżniczki, a ja z tyłu, objuczony walizkami, potulny. Istna komedia.

Po następnych kilkunastu minutach znaleźliśmy się już w mieszkaniu, gdzie już nie trzeba odgrywać idio- tycznych scen.

Postawiłem walizki na podłodze i stanęliśmy naprzeciw siebie. Trwaliśmy tak chwilę nieruchomo, wpa- trzeni w siebie, i jakby zażenowani sytuacją.

- Witaj w domu pani Reynolds. – Parsknąłem nieoczekiwanie śmiechem.
- Dzień dobry panie Robertson. – Dołączyła do mnie Eva.
- Rozgość się proszę. To nasze lokum na najbliższy okres. Da się żyć.
- Pierwsze, co chcę zrobić, to kąpiel. Ponad doba w drodze. Koszmar, mówię ci.
- To na co czekasz, pluskaj się ile chcesz, a ja przygotuję coś na ząbek. Na pewno głodna moja dziew- czynka. Prawda?
- Oj głodna, i to nie tylko jedzenia. – Obrzuciła mnie znaczącym spojrzeniem.

Eva zniknęła w łazience a ja w kuchni. Przygotowując coś na szybko, zadałem sobie wiele pytań.

Jak to możliwe? Jeszcze kilka dni temu byłem gotów odebrać sobie życie, a teraz? Co jest? To już Jacek i Pati nie są ważni? Świat, który zginął bezpowrotnie też już nic nie znaczy? Niemożliwe... A jednak możliwe, bo jak tonący łapie się czegokolwiek, tak i mój instynkt samozachowawczy łapie się być może swojej ostatniej szansy na życie. W Evie widzi swój ratunek, swoją przyszłość.

Kończyłem przygotowywanie, jak w drzwiach stanęło jakieś bóstwo. Na zaróżowionej buzi otoczonej kruczoczarnymi włosami, błyszczące węgielki oczu uśmiechały się zalotnie. Luźno opadające na ramiona pukle włosów, akcentowały luźno zapięty szlafroczek, zza którego wyglądało sporo nagiego ciała. Szczeka mi opadła.

- Dziewczynka jest bardzo głodna. – Powiedziała rozkapryszonym głosem.

- Niech dziewczynka nie stoi tylko siada, to być może coś dostanie.

- A nim usiądzie, to może dostać buzi?

- No, niech tam, - dostanie.

W momencie była przy mnie, zarzuciła ramiona na szyję i zachłannie wpiła mi się w usta. Nie wiem kiedy szlafroczek sfrunął na podłogę, a moje drżące dłonie pieściły tak łakomie poddające się dotykowi nagie ciało. Trwało to moment, bo po chwili oderwała się z westchnieniem.

- Pit, musimy dać sobie spokój. Jesteś po zawale i rozumiesz... Nie chcę stracić tego co odzyskałam. Ale obiecuję kochanie, wynagrodzę wszystko. Zobaczysz. Niech tylko moje słonko nabierze sił, - wyzdrowieje. Wiem wszystko o tym, co przeszedłeś i proszę, wyhamujmy z naszymi żądzami. Dobrze?

- A mam inne wyjście? Na pewno nie. Masz rację, przed nami mam nadzieję jeszcze dużo czasu.

- Ja też mam taką nadzieję, a nawet pewność. Pit, tak na poważnie, Zakończyłam temat Kunes. Sprzedałam dom za bezcen i przyjechałam do ciebie. Już nie mam nic oprócz mojego Pita. Rozumiesz?

Stałem jak zamurowany nie wierząc własnym uszom. Dlaczego? Dlaczego to dla mnie? Po dobrej chwili trochę nieprzytomnym głosem odpowiedziałem.

- Wybacz ale nie rozumiem. Przecież to było dla ciebie wszystko. Tam było twoje życie. A teraz co? Jak będziesz żyła?

- Mylisz się. Byłam tylko posłuszną córką. Uległam i poddałam się jej woli. Tak naprawdę to zawsze byłam przy tobie. Prawie każdej nocy tuliłam ciebie w snach. Przebudzenia były okropne.

Kiedy jednak ta kobieta opowiedziała o tobie, i twojej sytuacji, nie miałam już żadnych wątpliwości. Obietnice dane mamie przestały mnie obowiązywać. Myślę, że będąc kobietą zrozumiała, i nie ma do mnie żalu. Kochanie, musiałam wrócić do ciebie.

Pit, nie wiem, co postanowisz, ale wiedz jedno, - pragnę być przy tobie. Pojadę za tobą na przysłowiowy koniec świata. Jesteś moim jedynym celem życia.

- Eva, nie wiem, co mam powiedzieć. Zaraz chyba zwariuję. Zrozum, straciłem wszystko i wszystkich, których kochałem. Straciłem sens i potrzebę życia i myślałem o strzeleniu sobie w łeb. Przeklinałem

okrutny los, który już tyle razy zabierał mi wszystko to, co kochałem. Ale jednak znowu wyciągnął do mnie cukierek, - ciebie kochana Evo. Aż boję się, czy w momencie szczęścia nie sprzątnie mi go z przed nosa. Powiem więcej, nie zastanawiałem się o przyszłości. Nie wiem, co będzie za dalej. Będąc ze mną wiele ryzykujesz. Niedługo wyjedziemy z tego rajy i trzeba będzie coś zdecydować. Mówiąc szczerze boję się tego. Wiesz o czym mówię?

- Wiem mój kochany. Jednak mam pewność, że właśnie ze mną nie spotka cię już nic złego.

W końcu staniesz się spełnionym facetem mającym szczęśliwy dom, kochającą kobietę i gromadkę dzieci. Nie nęci cię taka perspektywa?

- Jeszcze jak. To były zawsze moje marzenia.

- To stanie się rzeczywistością. - Uwierz mi. A teraz to naprawdę jestem głodna. Daj coś do jedzenia dla swojej dziewczynki.

Mijały kolejne tygodnie i pomału zbliżała się pora pożegnania się z tą cudowną krainą. Moje zdrowie fizyczne dzięki wysiłkom lekarzy nie budziło zastrzeżeń, a psychika cóż, tak różnie.

Fakt, byłem zafascynowany cudowną kobietą dzięki której, nie istniało nic więcej niż radość z jej obecności. Jednak ten sielski obraz burzyła myśl, że oto niebawem stanę nad grobami moich najbliższych. Zderzę się wtedy z brutalnym pytaniem, którego teraz staram się nie przyjmować do wiadomości, co dalej panie Lorenz? Ich już nikt nie wskrzesi i trzeba będzie jakoś dalej żyć. Ale jak? Nie wiedziałem, nie wyobrażałem swojego życia bez nich.

Nie miałem dość siły aby zmierzyć się z odpowiedzią na to pytanie. Jak struś chowałem się za fascynacją Evą, naiwnie myśląc, że to jakoś samo się rozwiąże.

Nadszedł w końcu czas wyjazdu i szczegółowo poinstruowani wsiedliśmy oddzielnie do samolotów odlatujących w różnych kierunkach. Spotkać mieliśmy się już pod własnymi nazwiskami na lotnisku w Johannesburgu. Ja właśnie jako świeżo uwolniony zakładnik, a Eva jako moja przyjaciółka mająca mnie przejąć. Trochę to skomplikowane, ale widać tak było trzeba.

ROZDZIAŁ 13

Po długich kilkunastu godzinach podróży, szczęśliwi, z własnymi dokumentami i rezerwacją na lot do Oslo czekaliśmy na hali odlotów.

Chociaż na zewnątrz byłem szczęśliwym facetem prowadzącym śliczną kobietę, to faktycznie byłem spięty. Obawiałem się czegoś niespodziewanego. Zdawałem sprawę z faktu istnienia ludzi, którym moja misja nie przypadła do gustu. Z radością widzieliby mnie denatem w prosektorium. Uśmiechając się do Evy, dyskretnie i uważnie lustrowałem otoczenie.

W pewnym momencie mignęła mi jakaś znajoma twarz. Rany, kto to? Panika i gorączkowe grzebanie w pamięci. Minęła dobra chwila nim dotarło, - to ów biznesmen wysiadający w Zurychu gdy leciałem z

Oslo. Uśmiechnąłem się odruchowo, - anioł stróż na drogę powrotną.

Po kolejnych długich godzinach lądowaliśmy w Oslo. Przywitała nas późnojesienna szaruga. Zacinał niesiony porywistym wiatrem zimny i natrętny deszcz. To było niezbyt miłe doświadczenie. Jeszcze kilkanaście godzin temu tropiki a tu... Brr.

Nazajutrz zostawiwszy Evę w naszym mieszkanku, zgodnie w wcześniejszymi dyspozycjami pana Andersona, zjawiłem się w mojej macierzystej firmie. Zaskoczony przyjmowałem zarówno wyrazy współczucia, jak i gratulacje za udane uwolnienie się z rąk porywaczy. Perfekcyjnie zrobione, - fachowcy. Komedii ciąg dalszy. – Myślałem pełen podziwu.

Dopiero w gabinecie prezesa zniknęły wszelkie pozory. Zostałem tam dwóch nieznanym mi facetów, którzy bez żadnych ceregieli przystąpili do rzeczy.

- Nazywam się Dasher i jestem agentem CIA, a to mój partner, Boone. – Rozpoczął wysoki, szczupły facet wyciągając dłoń w moim kierunku.

- Miło poznać. – Mruczałem ściskając podane dłonie. – Chyba nie muszę się przedstawiać. – dodałem nieco złośliwie.

- Jasne, wiemy o panu i pana misji dość sporo. Tak nawiasem mówiąc, - podziwiamy pana. Zrobił pan kawał dobrej roboty.

- To lekka przesada. – Skrzywiłem się. – To, że coś tam udało się, to zasługa mojej przewodniczki. Ja byłem tylko jej osobą towarzyszącą. Takim piątym kołem u wozu. Rozumiecie panowie?

- Widzę, że Andersom dobrze pana scharakteryzował, - uśmiechnął się Boone, - cholerny indywidualista. No dobrze, to pana zdanie panie Lorenz, - wtrącił się Dasher, - mamy do przekazania pewną luźną propozycję. Będzie pan miał czas na jej przemyślenie. Sporo czasu.

Co to za propozycja?... – Zawiesił głos przyglądając się mnie, - Mówiąc krótko, propozycja współpracy. Chętnie wykorzystalibyśmy pańskie predyspozycje do rozwiązywania pewnych kłopotliwych sytuacji. Rozumie pan o czym mówię?

- Trudno o bardziej jasną ofertę. Ale nigdy nie byłem fanem przygód nijakiego pana Bonda. Jestem informatykiem ceniącym spokój i domowe zacisze, choć z tym drugim, to na razie jak panowie wiedzą, - raczej kłopoty. Podsumowując, nie piszę się na takie dalsze eksperymenty.

- Rozumiemy pana stanowisko i szanujemy go, ale ono jest na dziś. Jutro lub pojutrze może ulec zmianie. Nie ma pośpiechu. Do końca pańskiego kontraktu pozostało jeszcze więcej jak rok.

Będzie pan w tym czasie na pełnopłatnym urlopie. Myślę, wystarczy czasu na uporządkowanie swojego życia osobistego i przemyśleń, co dalej? Będziemy trzymali kciuki za pana, - tak po ludzku.

- Dzięki za te kciuki panowie. Fakt, nie wiem co przyniesie jutro, nie mówiąc o czymś bardziej odległym. To prawda, moje zdanie może ulec zmianie. Zostawmy go w spokoju.

Wracając do konkretów, - czas do namysłu mija z końcem kontraktu. Dobrze zrozumiałem?

- To nie do końca tak. Późniejsza deklaracja również będzie mile widziana.
- Jasne i logiczne. Po tym okresie jestem na własnym rozrachunku. To panowie zgoda. Przyjmuję takie zasady gry.
- Miło się z panem rozmawia. – Twarz Dashera rozjaśnił uśmiech. – Dodam jeszcze, że to o czym rozmawiamy jest uzgodnione z polskimi służbami. A tak przy okazji dodam, że z ich strony spotka się pan z daleko idącą pomocą. Nie będzie pan sam z takimi kłopotami.
- Zaskakujecie mnie panowie. Jest mi naprawdę miło słyszeć takie deklaracje.
- No dobra, bo się jeszcze wzruszymy. Będziemy już kończyć, ale jeszcze ważna informacja. Kontakt między nami tylko za pośrednictwem pańskiego warszawskiego opiekuna. Podkreślam, tylko i wyłącznie.
- Jasne. Tylko mój opiekun. Zrozumiano.
- To na nas pora. Życzymy poukładania sobie życia panie Lorenz.

Po wyjściu z firmy złapałem taksówkę i kazałem powozić się po mieście. Chciałem w spokoju zastanowić się nad tym, co dalej z Evą, usłyszaną propozycją i tak w ogóle, nad moim losem?

W zasadzie startowałem od zera. Życie otwiera mi nową, niezapisaną kartę. Czy znowu jak poprzednia będzie przegrana? - Westchnąłem ciężko. – Wspomnienie Sabinki zabolalo. Rany, co bym dał za to, aby znowu była przy mnie. Do diabła, za co jestem tak karany, że bezlitośnie zabrano mi wszystkich których kochałem. Rozkleiłem się i poczułem niekontrolowane łzy spływające po policzkach.

Wciśnięty w kąt samochodu patrzyłem niewidzącym wzrokiem przed siebie. Ze swoistego letargu wyrwał mnie głos taksówkarza.

- Dobrze się pan czuje?
- Bywało lepiej. – Odburknąłem.
- Co, puściła kantem? Zapytał współczująco.
- Żeby tylko to. Życie mnie puściło kantem. – Mruknąłem zrezygowany.
- O, życie... Ono potrafi wywinąć niezłe numery. Ale, coś panu powiem. To skurwysyńskie życie trzeba brać krótko za mordę. Tylko ciaptaki łamią się w nim jak zapałki. Twardziele leją go po pysku i ustalają własne reguły gry. Ono, to zasrane życie, słucha tylko silnych a pogardza łajzami.

Kapuje pan? – Zobaczyłem lusterku wstecznym błysk w jego oku.

- Dosadnie pan to ujął i co tu gadać, ma pan rację.
- To wytrzymaj pan głowę i opowiedz, co się stało? – Zabrzmiało rozkazująco.

Głupia sprawa, ale temu obcemu człowiekowi opowiedziałem wprawdzie bardzo skrótowo, lecz wszystko to, co leżało na sercu. Słuchał uważnie nie przerywając jedynym słowem.

Po zakończeniu tej swoistej spowiedzi zapadła długa cisza. Samochód jechał powoli ulicami Oslo wioząc dwóch zamyślonych facetów.

- To ładny numer wywinęło panu to pieprzone życie. – Odezwał się półgłosem. - Powiem szczerze, nie chciałbym być na pana miejscu. Ma pan jakieś plany?

- W tym problem, że nie. Wiszę jak balonik targany na wietrze.

- To do dupy, proszę pana. Balonik pęknie i znowu wpadnie pan do nowego gówna. Chwyć się jakieś fajnej kobitki i do dzieła. Będzie kobitka, będą dzieciaki i nowy dom. Nie maż się pan jak ostatnia łachmyta. Pamiętaj pan, życie trzeba krótko za mordę trzymać, a kobitę zresztą też. – Zaśmiał się zaraźliwie.

Zaskakująco dla siebie roześmiałem się i ja. W lusterku zobaczyłem wesołe oczy kierowcy i czując niespodziewaną ulgę, kazałem zawieść się pod mój apartamentowiec.

Po przyjeździe odmówił przyjęcia pieniędzy za kurs. To prezent na dobry początek. – Powiedział poklepując mnie po ramieniu.

W mieszkaniu nie zastałem Ewy. Pewnie poszła po jakieś zakupy, - pomyślałem i nie zastanawiając się zadzwoniłem na lotnisko, bukując na jutro dwa bilety do Polski.

Nie będę łajzą, biorę byka za rogi. Załatw to facet raz na jutro i zapomnij. – Dogadywałem sobie.

Ze zdziwieniem spostrzegłem, że znikła dręcząca mnie ostatnio apatia. Po prostu zachciało mi się żyć. Rozpierała mnie energia.

Po chwili odgłos otwieranych drzwi i w progu staje uśmiechnięta, obładowana pakunkami Eva.

- Jesteś już, jak fajnie. Popatrz co kupiłam. – Tryskała radością. – Nie będziemy już trzęśli się z zimna. Mam dla nas obojga po kilka kompletów ciepłej bielizny. Zima już nam nic nie robi.

- Faktycznie, wróciliśmy w letnich ciuchach a tu zima za pasem. Zmarzłem dzisiaj.

- Nie martw się kochanie, jutro kupimy co potrzeba. Będzie dobrze.

- Jutro to chyba nie, bo widzisz,... - zawiesiłem głos nie wiedząc jak mam powiedzieć o locie. ...

- Domyślam się czemu. – wpadła mi w słowo. – Lecimy do Polski, prawda?

- Normalna czarownica z ciebie. – Jęknąłem.

Zrobiłem dwa kroki i zamknąłem ją w szalonym uścisku aż jęknęła. Całując jej zimne usta i policzki szeptałem zwariowane słowa.

- Eva, kochanie moje. Może pomyślisz, - Pit zwariował. Być może, ale chcę być z tobą na zawsze. Pragnę abyśmy razem stworzyli szczęśliwy dom. Kochanie, - zostań moją żoną. Proszę.

- Chwila, spokojnie. – Spojrzała podejrzliwie. - Co ci się stało? Nie rozumiem.

- Nie mogę tak spokojnie. Chcę wiedzieć i to teraz. Masz rację, na jutro kupiłem dwa bilety i lecimy do

Polski. Ale chcę tam przywieść ciebie jako moją narzeczoną. Moją przyszłą żonę. Czy to takie skomplikowane?

- Nie, ale w zasadzie tak. Od kilku miesięcy jesteś chodzącą biedą. Nie miałeś w sobie krzty życia, a obojętność na wszystko wylewała się z ciebie. A tu nagle, ... Co jest?

- Miałem pewną rozmowę, która wstrząsnęła mną. Obudziłem się z letargu kochanie.

To jak, chcesz być panią Lorenz?

Eva delikatnie oswobodziła się z uścisku, zrobiła krok do tyłu i bardzo uważnie przyglądała się mojej postaci. Napięty wyraz twarzy stopniowo łagodniał, aż twarzyczkę rozświetlił cudowny uśmiech szczęścia. Naraz jak pantera rzuciła się na mnie. Skok był niespodziewany i silny więc zaskoczony straciłem równowagę i znaleźliśmy się na podłodze. Ogarnęła nas szaleństwo. W mgnieniu oka pozbyliśmy się ubrań i nadzy odkrywaliśmy na nowo swoje niezaspokojone żądze i fantazje erotyczne. Czas przestał istnieć. Gdy doszliśmy do siebie, za oknem był już wieczór. Pojękując i popatrując spod oka na siebie, podnieśliśmy się z podłogi.

- To jak, chcesz mnie za męża kochanie? – Wystękałem rozcierając obolałe kolana.

Stała tuż przede mną i mocno chwyciła moją twarz w obie dłonie. Zobaczyłem zamglone spojrzenie brązowych oczu, a do uszu dobiegł cichy lecz dobitny głos.

- Pił, - obojętnie, jako żona, kochanka, lub ktoś znieawidzony, będę twoją do końca moich dni. Wiedz jedno, - bardzo cię kocham. Zadowolony?

- Pani Lorenz, masz przed sobą najszczęśliwszego człowieka pod słońcem. Ja ciebie też bardzo kocham i zamierzam skrzętnie skorzystać z takiej deklaracji.

- Kochanie, - jęknęła pocierając pośladki, - to wszystko takie piękne, ale ja nie żyję. Coś najlepszego narobił. Prawie zamordowałeś swoją kochankę.

- Po pierwsze, nie kochankę, a po drugie, nie mordowałem a tylko odreagowywałem moją straszną tęsknotę za panią Lorenz.

- Byłeś tako cudowny. – Przeciągnęła się jak kotka. – Chodź, należy się nam gorący prysznic.

Wzięła mnie delikatnie za rękę i poprowadziła jak dziecko do łazienki.

Nazajutrz późnym popołudniem silny wiatr i zacinający deszcz ze śniegiem powitał nas na polskim lotnisku. Czekaając na odprawę celną nie odzywaliśmy się. Widziałem zszarzałą twarz Ewy, unikała mojego wzroku jakby bojąc się własnych i moich reakcji. Nikt na nas nie czekał, i nie było już domu do którego zwykle zmierzaliśmy. Byliśmy całkiem sami.

Odprawa przebiegała szybko i po chwili siedzieliśmy już w taksówce. Nie planując tego wcześniej lecz pod wpływem jakiegoś impulsu, podałem adres mojego domu. Musiałem zobaczyć to, co z niego zostało i znaleźć się na miejscu zagłady moich najbliższych.

Poczułem na dłoni uścisk Ewy a w brązowych oczach zobaczyłem niepokojącą wilgoć. Po kilku długich

jak wieczność minutach, taksówka zatrzymała się przed ogrodzoną jakimś płotkiem ruiną. Ta kupa rumowiska była kiedyś moim domem.

Człowiek zza kierownicy odezwał się wątpiaco.

- To na pewno ten adres?

- Na pewno. – Rzuciłem sucho. - To był kiedyś mój dom.

- O, to pan? ... Przepraszam. To była taka tragedia. Tyle ludzi...

Ciąg dalszy nastąpi...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

grab2105, dodano 09.09.2020 15:56

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.